

John Varley . Porwanie

Wyrwał mnie ze snu bezgłośny sygnał wibrujący w czaszce. Nie wyłączy się, dopóki nie usiądę, więc usiadłam. Wokół mnie w ciemnej sypialni spali pojedynczo i parami członkowie Drużyny Przechwytywającej. Ziewnęłam, podrapałam się po żebrach i klepnęłam Gene'a. Odwrócił się na drugi bok. Romantyczne pożegnanie.

Przetarłam oczy, sięgnęłam po leżącą pod łóżkiem nogę, przypięłam ją i podłączyłam. I już biegłam między rzędami łóżek w kierunku sali odpraw.

W mroku jarzyła się tablica sytuacyjna. Lot 128, Miami-Nowy Jork, 15 września 1979. Szukaliśmy go od trzech lat. Powinnam się cieszyć, ale kogo na to stać zaraz po przebudzeniu?

Liza Boston powitała mnie burknięciem przy wejściu do garderoby. Odburknęłam i weszłam za nią. Zapaliły się światła wokół luster, opadłam na fotel przed jednym z nich. Za nami przyszła jeszcze trójka. Podłączyłam się, wreszcie mogłam się odchylić na oparcie i zamknąć oczy.

Nie na długo. Lup! Poderwało mnie, kiedy na miejsce pomyj normalnie zastępujących mi krew napłynęło wysoko energetyczne paliwo. Rozejrzałam się i zostałam nagrodzona zestawem kretyńskich uśmiechów. Były tu Liza, Pinky i Dave. Przy ścianie Czistabel obracała się już wolno pod natryskiem przemalowując skórę na białą. Wyglądało, że mamy dobry zespół.

Otworzyłam szufladę i zaczęłam wstępne prace nad swoja

twarzą. Coraz z tym więcej roboty. Mimo transfuzji wyglądałam jak trup. Prawe udo odpadło mi do reszty i nie mogłam już zamknąć warg, dziąsła były stale odsłonięte. Przed tygodniem odpadł mi we śnie palec.

Tymczasem rozjarzył się jeden z ekranów przy lustrze. Uśmiechnięta młoda kobieta, blondynka, wysokie czoło, okrągła twarz. Dość podobna. Napis głosił, że to Mary Katrina Sondergard, urodzona w Trenton w stanie New Jersey, wiek w 1979: 25 lat. Masz dziś szczęśliwy dzień, dziecino.

Komputer roztopił skórę jej twarzy, żeby mi zademonstrować budowę czaszki, obrócił ją, dał przekroje. Stwierdzałam podobieństwa i wychwytywałam różnice. Nieźle, bywało gorzej.

Zestawiłam sztuczna szczękę z odstępem między górnymi przednimi zębami. Policzki wypchałam specjalna masa. Włożyłam szkła kontaktowe, które wypadły z podajnika. Zatyczkami rozszerzyłam nozdrza. Uszy niepotrzebne. Zasłoni je peruka. Naciągnęłam na twarz maskę ze sztucznego ciała i odczekałam chwilę aż przylgnie. Uformowanie jej w pożądane rysy zajęło mi tylko chwilę. Uśmiechnęłam się do siebie. Miło jest mieć wargi. Podajnik szczęknał i wyrzucił mi na kolana blond perukę i różowy strój stewardesy. Peruka była świeżo uczesana, jeszcze gorąca. Włożyłam perukę, potem rajstopy.

- Mandy? Odebrałaś informacje o Sondergard? - Nie podniosłam głowy, znałam ten głos.

- Tak jest.

- Ustaliliśmy miejsce jej pobytu. Możemy cię podstawić przed startem. Będiesz naszym asem w rękawie.

Jęknęłam i spojrzałam na ekran. Elfreda Baltimore-Louisville,

szef zespołów operacyjnych. Pozbawiona życia twarz, wąskie szparki oczu. Co można poradzić, kiedy wszystkie mięśnie obumarły?

- Zgoda. - Człowiek bierze, co mu dają.

Wyłączyła się i przez następne dwie minuty ubierałam się nie odrywając oczu od ekranów. Zapamiętywałam nazwiska i twarze członków załogi oraz nieliczne inne wiadomości na ich temat. Potem biegiem dogoniłam resztę. Od pierwszego alarmu upłynęło dwanaście minut i siedem sekund. Trzeba się spieszyć.

- Cholerne Słoneczne Linie - narzekała Czistabel poprawiając, biustonosz. - Dziękuj Bogu, że zrezygnowali z wysokich obcasów - zauważyła Dave.

- Rok wcześniej dreptałybyśmy po samolocie na trzycalowych obcasach. Wszystkie miałyśmy na sobie krótkie różowe kostiumy z granatowo-białym ukośnym pasem z przodu i takie same torby. Miałam kłopot z przypięciem idiotycznej czapeczki.

Truchtem wbiegłyśmy do ciemnej sali odpraw i ustawiliśmy się przy bramie. Teraz pozostawało tylko czekać.

Stałam pierwsza, kilkadziesiąt centymetrów od bramy. Odwróciłam się, żeby nie dostać zawrotu głowy. Wolałam już patrzeć na siedzące przy pulpitych gnomy skąpane w żółtym świetle bijącym z ekranów. Żaden nie odwzajemnił mi się spojrzeniem. Nie lubią nas zbytnio. Ja też za nimi nie przepadam. Zwiędłe głodomory. Nasze grube nogi, pośladki i piersi są dla nich obraza, przypominają im, że łapiduchy dostają pięciokrotnie wyższe racje żywnościowe, żeby móc brać udział w maskaradzie. A tymczasem nie przestajemy gnić. Któregoś dnia ja też zasiądę za pulpitem. Któregoś dnia zostanę wbudowana w pulpity, ze wszystkimi wnętrznościami na zewnątrz i z mojego ciała zostanie

tylko smród. Niech ich szlag trafi.

Schowałam rewolwer do torebki pod papierowe chusteczki i kredki do warg. Elfreda przyglądała mi się spod oka. - Gdzie ona jest? - spytałam.

- W motelu. Była sama od dziesiątej wieczorem do południa w dniu lotu. Odlot był o trzynastej piętnaście.

Będzie się spieszyć. To lepiej.

- Możesz ją złapać w łazience? Najlepiej w wannie?

- Staramy się. - Końcem palca nakreśliła uśmiech na martwych wargach. Wiedziała, jak lubię działać, ale dawała mi do zrozumienia, że muszę brać, co mi dają. Nigdy nie zaszkodzi spytać. Ludzie są najbardziej bezbronni, kiedy leżą po szyję w wodzie.

- Start! - krzyknęła Elfreda. Przeszłam przez bramę i zaczęły się kłopoty. Byłam skierowana w złą stronę i zamiast wchodzić do łazienki wychodziłam z niej do sypialni. Odwróciłam się i przez mgiełkę bramy zobaczyłam Mary Sondergard. Nie mogłam do niej dotrzeć nie przekraczając bramy. Nie mogłam nawet strzelić nie raniąc kogoś po drugiej stronie.

Sondergard stała w najgorszym możliwym miejscu, przed lustrem. Niewielu ludzi rozpoznaje siebie od razu, ale ona akurat patrzyła na siebie. Zobaczyła mnie i szeroko otworzyła oczy. Zeszłam czym prędzej z jej pola widzenia.

- Co to, do cholery... hej? Kto... Zwróciłam uwagę na głos, który bywa najtrudniejszy do naśladowania.

Uznałam, że była bardziej zaintrygowana niż przestraszona.

Wyszła z łazienki przechodząc przez bramę, jakby jej nie było, zresztą nie było jej rzeczywiście, gdyż brama ma tylko jedną stronę. Była owinięta ręcznikiem.

- Jezu Chryste! - Co robisz w moim... - W takich chwilach ludziom brak słów. Wiedziała, że powinna coś powiedzieć, tylko co? "Przepraszam, czy to panią widziałam w lustrze?"

Uśmiechnęłam się, jak przystało na stewardesę i wyciągnęłam rękę.

- Przepraszam za najście. -Zaraz wszystko wyjaśnię. Widzi pani... - Uderzyłam ją w skroń. Zatoczyła się i padła jak długa. Ręcznik jej spadł - ... ja zarabiam na studia. - Zaczęła się podnosić, więc poprawiłam jej w szczękę moim sztucznym kolaniem. Tym razem została na podłodze.

- Niech to szlag! - syknęłam rozcierając kostki dłoni. Nie było czasu. Uklękłam obok niej, sprawdziłam puls. Nic jej nie będzie, ale chyba obruszałam jej przednie zęby. Zatrzymałam się na chwilę. Boże, tak wyglądać bez makijażu, bez protez! Prawie jej pożałowałam.

Chwyciłam ją pod kolana i zaciągnęłam do bramy. Jak worek klusek. Ktoś się wychylił, złapał ją za stopy i wyciągnął. Żegnaj, lalczko. Co byś powiedziała na daleką podróż?

Przysiadłam na jej łóżku, żeby złapać oddech. W torebce miała kluczyki do samochodu i papierosy. Prawdziwy tytoń, na wagę krwi. Zapaliłam sześć, obliczywszy, że mam dla siebie pięć minut. Pokój wypełnił się słodkim dymem. Teraz już takich nie robią.

Wynajęty samochód stał na parkingu. Wsiadłam i skierowałam się na lotnisko. Głęboko wdychałam powietrze przesycone węglowodorami. Widziałam na setki jardów przed sobą. Rozległy

widok omal nie przyprawił mnie o zawrót głowy, ale przecież dla takich chwil żyję. Nie sposób wyjaśnić, jak to jest w tym dawnym świecie. Słońce przeświecało przez mgiełka jaskrawą, żółtą kulą.

Weszłam na pokład 707 z innymi stewardesami. Niektóre znały Sondergard, nie wdawałam się więc w rozmowy markując kaca. Rzecz została przyjęta wśród porozumiewawczych uśmiechów i żarcików. Widocznie nie było to nic nowego. Zajęliśmy stanowiska i czekałyśmy na swoje barany.

Wyglądało, że wszystko jest w porządku. Czwórka naszych po drugiej stronie bramy była sobowtórami kobiet, z którymi pracowałam. Nie pozostawało nic innego, jak grać rolę stewardesy do czasu odlotu. Miałam nadzieję, że nie będzie już żadnych sęków. Uruchomienie bramy dla skoku na motel to jedna sprawa, a w Boeingu na wysokości dwudziestu tysięcy stóp...

Samolot był prawie pełen, kiedy stewardesa, którą miała odgrywać Pinky zamknęła przednie drzwi. Podkołowaliśmy do końca pasa i już byliśmy w powietrzu. Zaczęłam zbierać zamówienia na napoje.

Stado mieliśmy typowe dla roku 1979. Wszyscy tłuści i wystrojeni, nieświadomi, że żyją w rajach, jak ryby, które nie wiedzą, że żyją w wodzie. Co byście państwo powiedzieli na małą wycieczkę w przyszłość? Nie? Nie mogę powiedzieć, że jestem zdziwiona. A gdybym tak państwu powiedziała, że ten samolot...

Odezwał się mój brzeczyk na znak, że osiągnęliśmy wysokość podróży. Zerknęłam na wskaźnik pod moim ręcznym zegarkiem a potem na drzwi do jednej z toalet. Poczułam wibrację wstrząsającą samolotem. Cholera, nie tak szybko.

Brama była tam. Ruszyłam czym prędzej i dałam znak Diane Cleason (robił ją Dave), żeby podeszła.

- Spójrz na to - powiedziałam z wyrazem obrzydzenia.. Zaczęła wchodzić do toalety, ale zatrzymała się na widok zielonej poświaty. Przystawiłam jej nogę do tyłka i pchnęłam. Doskonale. Dave miał okazję usłyszeć jej głos przed wejściem. Choć właściwie tylko krzyczała, kiedy zobaczyła gdzie jest...

Dave przekroczył bramę poprawiając swój idiotyczny kapelusik. Diane widocznie stawiała opór.

- Udawaj obrzydzenie - szepnęłam. - Ohyda - powiedział wychodząc z toalety. Nieźle wpadł w ton Diane, choć akcent był niezupełnie ten sam. Niedługo przestanie to mieć znaczenie.

- Co tam jest? - zaciekawiała się stewardesa z klasy turystycznej. Rozstąpiłyśmy się, żeby mogła zajrzeć i Dave ją przepchnął. Natychmiast wyskoczyła Pinky.

- Jesteśmy do tyłu z czasem - powiedziała. - Straciliśmy pięć minut po tamtej stronie.

- Pięć minut! - pisnął Dave, czyli Diane. Ja czułam to samo. Mieliśmy do załatwienia stu trzech pasażerów.

- Stracili kontakt, kiedy przepchnęliście moją. Musieli się na nowo dostroić.

Człowiek się przyzwyczaja. Czas płynie inaczej po obu stronach bramy, chociaż zawsze w tym samym kierunku, z przeszłości do przyszłości. Z chwilą, kiedy zaczęliśmy akcję moim wkroczeniem do pokoju Sondergard, po żadnej stronie nie można już było cofnąć się przed ten moment. Tutaj, w 1979, mieliśmy na przeprowadzenie całej akcji równo dziewięćdziesiąt cztery minuty. Po drugiej stronie brama nie mogła być otwarta dłużej niż przez trzy godziny.

- Ile czasu upłynęło od alarmu, kiedy przechodziłaś?

- Dwadzieścia osiem minut.

- Niedobrze. Samo wyprawianie klientów zajmie przynajmniej dwie godziny. Zakładając, że nie zdarzą się już poślizgi czasu w 1979, mogliśmy zdążyć. Ale zawsze zdarza się jakiś poślizg. Przebiegł mnie dreszcz na myśl, że mogę utknąć w samolocie.

- Nie ma się co dalej bawić - powiedziałam. - Pinky, idź do turystycznej i zawołaj tu obie dziewczyny. Powiedz im, że mamy kłopoty i żeby przychodziły pojedynczo. Wiesz, jak to zrobić.

- Wiem. Mam powstrzymać łzy. Poszła do tylnej części. Prawie natychmiast pokazała się pierwsza stewardesa. Na twarzy miała odcisnięty obowiązkowy uśmiech Słonecznych Linii, ale żołądek pewnie podchodził jej do gardła. O Boże, stało się!

Wzięłam ją za łokieć i wciągnęłam za kotarę oddzielającą przód samolotu. Oddychała nerwowo.

- Witaj w strefie przejściowej - powiedziałam i przyłożyłam jej rewolwer do głowy. Musiałam ją złapać, żeby nie upadła. Pinky i Dave pomogli mi przepchnąć ją przez bram.

- Cholera, to świństwo zaczyna filować!

Pinky miała rację. Zły znak. Wkrótce zielona poświata ustabilizowała się na naszych oczach, diabli wiedzą z jakim poślizgiem po tamtej stronie. Wskoczyła Czistabel.

- U nas plus trzydzieści trzy minuty - oznajmiła. Nie miało sensu mówić tego, co wszystkie myślałyśmy: było niedobrze.

- Idź do turystycznej - powiedziałam. - Bądź dzielna, uśmiechaj się na prawo i lewo, ale tak, żeby było widać, że nadrabiasz miną. Jasne?

- Jasne.

Pozostałe stewardesy załatwiłyśmy szybko, bez incydentów. Potem nie było już czasu na rozmowy. Za osiemdziesiąt dziewięć minut lot 128, rozwali się o górę, czy skończymy, czy nie.

Dave poszedł do kabiny pilotów pilnować, żeby nam nie przeszkadzali. Ja i Pinky miałyśmy się zająć pierwszą klasą a potem pomóc Lizie i Czistabel w turystycznej. Używałyśmy sztamkowego zagrania "kawa, herbata, mleko" licząc na naszą szybkość i ich bezwładność.

Pochyliłam się nad pierwszymi fotelami z lewej.

- Jak się państwu podoba lot? Puch, puch. Dwa naciśnięcia spustu przy głowach, tak żeby reszta baranów nie widziała.

- Dzień dobry państwu. Jestem Mandy. - Puch, puch.

W połowie drogi kilka osób przyglądało się nam z zainteresowaniem. Na szczęście ludzie nie podnoszą szumu zbyt łatwo. Jeden baran w ostatnim rzędzie wstał, więc go usadziłam. Zostało już tylko ośmioro przytomnych. Przestałam się uśmiechać i oddałam cztery szybkie strzały. Pinky załatwiła resztę. Wybiegłyśmy za kotarę, jak się okazało w samą porę.

W turystycznej przeszło połowa baranów była załatwiona i zaczął się szum. Czistabel spojrzała na mnie, dałam jej znak głową.

- Cisza! - wrzasnęła. - Siedzieć cicho i słuchać. Siadaj, kretynie,

bo cię kopnę w dupę.

Szok wywołany jej słowami zyskał nam chwila czasu. Utworzyliśmy tyralierę przez szerokość samolotu z bronią wycelowaną w grupę drepcących

Zaczęła się mordercza rutyna. Łapie się za uprząż na ramionach pustaka i ciągnie się go wzdłuż samolotu po sprawdzeniu numeru fotela, który ma wymalowany na czole. Farba niknie po trzech minutach. Pustaka trzeba posadzić, zapiać pasy i zdjąć z niego uprząż, która trzeba zabrać i przerzucić przez bramę, kiedy się odbiera następnego. Zakłada się, że ci po drugiej stronie dobrze wykonali swoją robotę: plomby, odciski palców, wzrost, waga i kolor włosów muszą się zgadzać. Większość z tych rzeczy nie ma większego znaczenia, zwłaszcza w locie 128, który zakończył się zderzeniem i pożarem. Zostaną jedynie kawałki i to spalone na skwarki. Ale mimo to nie wolno ryzykować. Ekipy ratownicze są bardzo drobiazgowo w pracy nad tym, co znajduje; szczególnie ważne jest użębienie i odciski palców.

Nie cierpię tych pustaków, autentycznie ich nie cierpię. Za każdym razem, kiedy chwytam uprząż, w której jest dziecko, zastanawiam się, czy to nie Alice. Czy to ty jesteś moim dzieckiem, ty jarzyno, ty klocu, ty oślizły robalu? Zgłosiłam się do łapiduchów po tym, kiedy pasożyty mózgowie wyjadły życie z głowy mojej córeczki. Nie mogłam znieść myśli, że należała do ostatniego pokolenia, że ostatni ludzie będą wegetować z pustką w głowie, klinicznie martwi według standardów obowiązujących nawet w roku 1979, z mięśniami pobudzonymi przez komputery, żeby nie zanikły. Człowiek dorasta, osiąga - jako jeden na tysiąc - dojrzałość płciowa, pośpiesznie zachodzi w ciążę. A potem stwierdza, że mamusia i tatuś przekazali mu chroniczną chorobę zakodowaną w genach i żadne z jego dzieci nie będzie zdrowe. Wiedziałam, co to jest paratrąd, od dzieciństwa traciłam palce od nóg. Ale to było ponad moje siły. Ale co można zrobić?

Tylko co dziesiąty pustak miał twarz. Trzeba czasu i nie lada umiejętności, żeby stworzyć twarz, która wytrzyma autopsję medyczną. Reszta przychodziła wstępnie okaleczona. Mieliśmy ich miliony i nietrudno było znaleźć odpowiednie ciało. Większość oddychała do końca - za tępa, żeby przestać - dopóki nie rozbiła się wraz z samolotem.

Samolotem rzuciło, ostro. Spojrzałam na zegarek. Zderzenie za pięć minut. Powinniśmy zdążyć. Ciągnęłam ostatniego pustaka. Słyszałam, jak Dave gorączkowo wzywa ziemię. Podano przez bramę bombę i podrzuciłam ją do kabiny pilota. Pinky włączyła zapalnik ciśnieniowy i wybiegła, Dave tuż za nią. Liza już przeszła. Złapałam bezwładne ciała w strojach stewardes i rzuciłam je na podłogę. Odpadł silnik i jakiś jego fragment przebiłabinę. Zaczęło spadać ciśnienie. W kabinie pilota wybuchła bomba (ekipa ratunkowa stwierdzi - na to liczyliśmy - że część silnika wpadła do kabiny zabijając załogę: pilot przestał się odzywać) i skręciliśmy wolno w lewo i w dół. Pociągnęło mnie w stronę dziury w boku samolotu, ale udało mi się przytrzymać fotela. Czistabel nie miała tyle szczęścia. Zmiotło ją do tylnej części.

Zaczęliśmy się lekko wznosić, tracąc szybkość. Nagle, do miejsca, gdzie leżała Czistabel, było pod górę. Z jej skroni sączyła się krew. Obejrzałam się. Wszyscy już wyszli, na podłodze leżały trzy ciała w strojach stewardes. Teraz samolot poszedł w dół i nagle straciłam oparcie.

- Wstawaj, Bel ! - wrzasnęłam. Byłam tylko o trzy stopy od bramy, ale zaczęłam się podciągać tam, gdzie unosiła się w powietrzu Czistabel. Samolot podskoczył i spadła na podłogę. Paradoksalnie, to jej wróciło przytomność. Zaczęła podciągać się w moja stronę i złapałam ją za rękę w momencie, kiedy znów rozpłaszczyło nas na podłodze. Czołgając się w samolocie, którym

wstrząsały przedśmiertne drgawki, dotarliśmy do toalety. Bramy nie było.

Szkoda słów, spadałyśmy. Niełatwo jest utrzymać bramę na miejscu w samolocie, który leci prostym kursem. Kiedy maszyna wpada w korkociąg i zaczyna się rozpadać, zadanie jest niewyobrażalnie trudne. Tak mi tłumaczono.

Objęłam Czistabel i przytuliłam jej zakrwawioną głowę. Była zamroczona, ale zdobyła się na uśmiech i wzruszenie ramion. Człowiek bierze, co mu dają. Wciągnęłam ją do toalety i usiadłyśmy na podłodze. Plecami do przedniej przegrody. Czistabel między moimi nogami, plecami do przodu. Jak na szkoleniu. Stopy wparłyśmy w przeciwległą ścianę. Objęłam ją z całej siły i rozplakałam się.

I wtedy się pokazała. Zielona poświata z lewej strony. Rzuciłam się, w jej stronę ciągnąc Czistabel, unikając dwóch pustaków, które przerzucono nad naszymi głowami. Wyciągnęły się po nas ręce. Czołgałam się jak oszalała przez dobre pięć jardów. Zdarza się zostawić po drugiej stronie nogę, a to była moja ostatnia.

Usiadłam, kiedy Czistabel brano na nosze. Poklepałam ją po ramieniu, ale była nieprzytomna. Sama bym chętnie straciła przytomność.

Przez jakiś czas człowiek nie wierzy, że to się naprawdę zdarzyło. Czasami okazuje się, że się nie zdarzyło. Wraca się i stwierdza, że wszystkie barany rozplynęły się w nicość, gdyż czasoprzestrzeń odrzuciła zmiany i paradoksy, które w nią wprowadziliśmy. Uratowani z takim wysiłkiem ludzie leżą rozchłapani niczym sos pomidorowy na jakimś cholernym wzgórzu w Karolinie i ma się tylko gromadę popsutych pustaków i wyczerpana ekipę łapiduchów. Ale tym razem było inaczej. Widziałam drepczące w zagrodzie nasze barany, nagie i ogłupiałe.

Dopiero teraz zaczynające odczuwać prawdziwy strach.

Elfreda dotknęła mnie, kiedy koło niej przechodziłam. Kiwnęła głową, co w jej ograniczonym repertuarze gestów oznaczało pochwałę. Wzruszyłam ramionami, zastanawiając się, czy mnie to wzrusza, ale że wciąż miałam we krwi ładunek adrenaliny, stwierdziłam, że się uśmiecham od ucha do ucha. Kiwnęłam jej głową w odpowiedzi.

Gene stał przy kojcu. Podeszłam i objęłam go. Poczułam żywsze pulsowanie krwi. Do licha, zdobądźmy gdzieś przydział i zabawmy się trochę.

Ktoś walił w hermetyczna szybę kojca. Mary Sondergard. Obrzucała nas wyzwiskami. Dlaczego? Co z nami zrobiliście? Domagała się od swojego łysego, jednonogiego sobowtóra, żeby jej wytłumaczył. Wyobrażała sobie, że ma kłopoty. Boże, ależ była piękna. Nienawidziłam jej.

Gene odciągnął mnie od szyby. Miałam obolałe dłonie i połamane sztuczne paznokcie bez drapania po szkle. Sondergard osunęła się na podłogę i płakała. Usłyszałam głos instruktora odpraw z głośnika.

"Trzecia Centaura jest gościnna, z klimatem podobnym do ziemskiego. To znaczy do tego, jaki znacie, nie do obecnego. Przekonacie się sami. Podróż potrwa pięć lat według czasu pokładowego. Po wylądowaniu będziecie mieli prawo do jednego konia, pługu, trzech siekier, dwóch cetnarów ziarna siewnego..."

Oparłam się o ramię Gene'a. Nawet w tej chwili, na dnie rozpaczy, byli w nieskończenie lepszej sytuacji niż my. Zostało mi może dziesięć lat, połowa z tego w łóżku. Oni są nasza największą i jedyną nadzieją. Od nich zależy wszystko.

"... że nikogo nie zmuszamy do emigracji. Chcemy przypomnieć jeszcze raz, ale nie po raz ostatni, że bez naszej interwencji już byście nie żyli. Są jednak rzeczy, które powinniście wiedzieć. Nasze powietrze jest dla was zabójcze. Jeżeli pozostaniecie na Ziemi, nie będziecie mogli opuścić tego budynku. My jesteśmy inni. Jesteśmy mutantami powstałymi w rezultacie doboru genetycznego. Przeżyliśmy, ale nasi wrogowie też podlegali ewolucji. I oni zwyciężają. Wy jednak jesteście odporni na choroby, które nas zabijają..,"

Nie wytrzymałam i odwróciłam się. "Z drugiej strony, jeżeli wyemigrujecie, uzyskacie szansę nowego życia. Nie będzie wam łatwo, ale jako Amerykanie powinniście odczuwać dumę z dziedzictwa pionierów. Wasi przodkowie zakorzenili się na nowej ziemi i wy dokonacie, tego samego. Będzie to wielka przygoda i gorąco was zachęcam..."

No jasne. Spojrzeliśmy na siebie z Genem i wybuchnęliśmy śmiechem. Wiecie co, ludzie? Pięć procent z was załamie się nerwowo w ciągu najbliższych dni i nigdzie nie wyjedzie. Mniej więcej tyle samo popełni samobójstwo, tutaj albo w drodze. Kiedy dotrzecie na miejsce, sześćdziesiąt do siedemdziesięciu procent zginie w pierwszych trzech latach. Będziecie umierać przy porodach, będziecie pożerani przez drapieżniki, pochowacie dwoje albo troje dzieci, będziecie głodować, jeżeli nie przyjdą deszcze. A jeżeli przeżyjecie, będziecie gnać grzbiety za pługiem od świtu do zachodu. Ludzie, Nowa Ziemia to raj!

Boże, dałabym wszystko, żeby móc z nimi lecieć.

przekład : Lech Jęczmyk